



Z Prawdą na ssyłku w Kazachstan - cz.II

[część I](#)

Kilkumiesięczna wędrówka w transporcie skazańców zakończyła się dla mnie dopiero w maju. Stepy Kazachstanu przykrywa jeszcze o tej porze śnieg, a przenikliwy zimny wiatr przeszywał do szpiku. Płaszcz który miałam na sobie, zapinany na guziki z chleba, nie stanowił ochrony przed dotkliwym zimnem.

W eskorcie strażnika, potykając się w śniegu, idziemy na posterunek milicji. Oświadczają mi, że przyjechałam tutaj na pięć lat tzw. wolnej zsyłki, nie mam prawa nigdzie stąd wyjeżdżać, ale mam się czuć jak człowiek wolny. Dowiaduję się też, że mam pracować w cegielni. Gdy jednak stanęłam, w tym swoim lichym odzieniu, przed kierownikiem, ten zmierzył mnie wzrokiem i stwierdził, że zna moją sytuację, a wobec tego, wiedząc że mam dzieci, a praca tutaj w surowych warunkach nie dałaby mi szans na przeżycie, powiedział na koniec, że nie przyjmie mnie, ponieważ nie chciałby mieć mnie na sumieniu. Poradził mi, dając na koniec kilka rubli na przeżycie następnych paru dni, bym poszukała sobie pracy w mieście. Na pożegnanie życzył mi wszystkiego dobrego.

W tych trudnych początkowych dniach, jak również i potem odczuwałam cały czas dobrotną i opiekuńczą dłoń naszego Ojca Niebieskiego. Zupełnie przypadkowo spotkałam znajomą więźniarkę, z którą byłam w więzieniu we Lwowie - Żydówkę, o imieniu Ruta. Miałam okazję rozmawiać z nią o Ewangelii, a również o nadziejach narodu żydowskiego. Bardzo serdecznie przywitałyśmy się. Ku mojemu zaskoczeniu oświadczyła, że skoro wspierałam ją duchowo w więzieniu, ona teraz nie pozwoli, bym miała tutaj zginąć.

Głód, wszechobecny brud i ubóstwo w codziennym bytowaniu, były wprost niewyobrażalne. Zachorowałam wnet na czerwonkę. Stan był bardzo ciężki, a tak przecież chciałam żyć. Gdy wracała przytomność modliłam się bardzo gorąco i Pan wyrwał mnie z objęcia śmierci. W tej właśnie godzinie śmiertelnego zagrożenia Pan zesłał mi w modlitwie, w której ustawicznie trwałam, pomoc. Przypomniałam sobie o czymś, co niegdyś czytałam. Poprosiłam, by dano mi trochę jodyny, z której przygotowałam sobie napój. Obsługa szpitalna obawiała się czy przeżyję tę kurację. Po pewnym czasie dolegliwości, jak gdyby zmniejszyły się, mogłam zasnąć. Spałam podobno trzy doby. Ta prosta w sumie kuracja, jak się wnet okazało, przyniosła wielu chorym na

czerwonkę ulgę, a nawet wyleczenie. Dziękowano mi, a ja z pokorą i wdzięcznością, mojemu dobremu Ojcu. Pod opieką życzliwych i bezinteresownych ludzi wracałam do zdrowia.

W niedługim czasie dojechali również pozostali bracia skazani razem ze mną. Korzystając z przychylności naczelnika milicji, dostaję pozwolenie na odwiedzenie ich w dość odległym kołchozie, dokąd skierowano ich do pracy. Zaopatrzyłam się w trochę chleba i mleka, i ruszyłam w drogę piechotą. Dotarłam w końcu do celu, lecz nie zapomnę nigdy tego, co dane mi było oglądać - istoty ludzkie, odmienione cierpieniem przez głód i wyniszczające warunki życia, pod gołym niebem. Rozpoznaliśmy się i ucieszyli, gdyżśmy mogli podziękować Bogu za to spotkanie i chleb powszedni, który przecież w niczym prawie nie przypominał chleba w dniach sytości.

W niedługim jednak czasie bratu Bodnarowi pracującemu w szpitalu miejskim, gdzie był bardzo lubiany, udało się znaleźć dla nich pracę i mieszkanie oraz pozwolenie na zamieszkanie w mieście. Mogliśmy teraz być razem tworząc maleńką społeczność. Stopniowo również i warunki materialne ulegały poprawie. Tak doczekaliśmy zmian, które przyniosła śmierć Stalina. Rozpoczęłam starania, by pozwolono przyjechać do mnie moim drogim dzieciom. Niestety, nie dojechały już do mnie oboje - Janek, syn mój, jak się później dowiedziałam, zachorował bardzo ciężko i zmarł w szpitalu. Bóg łaskawy dał i w tej godzinie dość siły, bym to znieść mogła.

W Swojej dobroci pozwolił nawet, bym mogła opowiadać Ewangelię w domu pewnej zacnej kobiety będącej... sekretarzem partii w Rajkowie. Opiekowała się mną w czasie choroby i przyjęła potem do swego domu. Zyskałam jej sympatię i zaufanie, gdyż, jak wyznała kiedyś szczerze, szanuje Słowo Boże i tych którzy je czytają, ponieważ matka jej miała i kochała Biblię. Zżyłyśmy się do tego stopnia, że ilekroć gościła w domu partyjnych towarzyszy, prosiła, bym uczestniczyła w tych spotkaniach i rozmawiała o nadziejach Słowa Bożego. Mieszkając u niej, mogłam również za jej wiedzą, a nawet zachętą pomagać materialnie moim drogim braciom. Czas ten wspominam do dzisiaj jeszcze bardzo mile, z wielką wdzięcznością dla Boga i Pana naszego, który prowadził mnie często bardzo dziwnymi, ale jakże błogosławionymi ścieżkami życia. Zawsze też byłam, i do dzisiajszego dnia gotowa jestem,



wyznawać słowem i czynem moją gorącą miłość do mojego Zbawiciela.

I tak dobiegał końca nasz kazachstański exodus. Zachęcona przez brata Bieleckiego złożyłam prośbę o umożliwienie repatriacji do Polski. Odpowiedź z Moskwy nadeszła bardzo szybko. Stukot kół oddalał od ziemi, która dla tak wielu ludzi okazała się przecież sroga i nie-ludzka, w której często przychodziło im rozstać się z życiem. Dla mnie tę mroczną ziemię Bóg rozświetlał Swoim Słowem i prowadził mnie w tym morzu ludzkie-

go nieszczęścia Swoją mocną prawicą. Miałam to szczęście spotkać Go w życiu i On zawsze słyszał moje westchnienia: „*ale nas zbaw ode złego*”.

*Wspominała siostra Gałuszcza, opisał br Zbigniew
Pasterski*

Pasierski Zbigniew
R-
„Straż”

Jest to zakończenie wspomnień tej siostry, zamieszczonych w 5 nr „Na Straży”, 1994 roku.